Z POWODU ZUPEŁNEGO WYCZERPANIA PIERWSZEGO, NAKŁAD DRUGI (W SKRÓCENIU).

Nr. 3. **Lwów, dnia 1. Lutego 1893.** **Rok I.**

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Halicka, l. 10.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma.
Przedpłatę miejscową i zamiejscową uprasza się przesyłać przekazami, zaeuropejską najodpowiedniej w listach poleconych.

STANY

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Halicka, l. 10.
Ceny ogłoszeń:
Za wiersz drobnym drukiem lub jego miejsce 6 centów, za większe ogłoszenia podług umowy.
Listów niefrankowanych nie przyjmuje się. Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.

CZASOPISMO SPOŁECZNE i LITERACKIE.

Audiatur et altera pars!

Prenumerata w Austryi wraz z przesyłką pocztową a we Lwowie z dostawą do domu, wynosi:

rocznie	4 złr.
półrocznie	2 „
kwartalnie	1 „

Numer pojedynczy kosztuje 20 ct.

Wychodzą 1. i 15. każdego miesiąca.
Redaktor odpowiedzialny i wydawca
Bohdan Czaykowski.

Prenumerata wynosi:
W Niemczech rocznie 8 marek, półrocznie 4 marki, kwartalnie 2 marki.
We Francyi rocznie 10 franków, półrocznie 5 franków.
W Ameryce rocznie 3 dolary.

Od Administracyi.

Znacznej części naszych P. T. prenumeratorów a mianowicie tym którzy po 1. kwietnia b. r. przybyli, nie byliśmy w stanie wysłać 3ci numer. Z powodu olbrzymich kosztów jakieby powtórne złożenie całego arkusza wymagało, nie jesteśmy wmożności powtórnie zupełny wydać numer i ograniczamy się jedynie na fejletonie w celu wypełnienia powstałej w nim luki.

RAJ NA ZIEMI

w latach 1901—1912.

PRZEZ

EMILA GREGOROWIUSZA.

Przekład A. F.

(Ciąg dalszy.)

«Jesteśmy przekonani, — brzmiał ustęp pewnego poufnego okólnika, że przy wydawaniu wyroków kary śmierci, powodować się będziecie li tylko względami na sprawę». A dalej: «kamienowania polecać nie możemy, prędzej już rozbijanie czaszki za pomocą grubych kołów» — i t. d.

Z przerażeniem zapartym oddechem patrzyły inne narody Europy na ten niezwykły wypadek zupełnego przekształcenia starego ładu. Wprawdzie i u sąsiednich narodów drzały serca i ręce, ażeby za naszym pójść przykładem, ale czy to dlatego, że rządy dość wcześnie i dość energicznie wzięły się do dzieła, czyteż że wszedł tu w grę ów instynkt ludu, który radzi nie pchać ręki w ukrop dopóki drudzy tego nie zrobią eksperymentu, czy też że robotnicy państw sąsiednich jeszcze nie dość socyaldemokratycznie byli wychowani i wykształceni, czy może wreszcie inne jakie postronne wpłynęły przeszkody, dość że ów gwałtowny ruch, wyłącznie na nasz się ograniczył naród.

Nie do uwierzenia a jednak prawdziwe! Z tego okropnego zamętu, wyłoniło się w końcu coś takiego jak porządek, cos widocznego; każdy kto mógł widzieć, widział wyraźnie że powstaje coś nowego, nowy porządak rzeczy, nowe jak z igły państwo. że nowe życie powstaje. Tak było rzeczywiście, — powoli spuścił się z nieba na krwią przesiąkłą ziemię, ów gorąco upragniony, krwawo zdobyty «socyalno demokratyczny raj na ziemi».

Raj ten trwał u nas lat wiele.

O nim i o jego końcu opowiedzą następne rozdziały.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

RAJ NA ZIEMI
w 1901 roku.

I.

Najpierw trzeba zaprowadzić porządek!

Byłoto w początkach maja 1901 roku, gdy na schyłku pięknego dnia wiosennego, zbliżał się Klaus Jürgen do niewielkiej swej zagrody. W ręku prowadził chudą szkapę. Pług i bronę zostawił w polu. Dziś po raz ostatni obrabiał niemi pachnącą rolę, która przez lat pięćdziesiąt skąpo żywiła jego ojca a teraz jemu, żonie i synowi, nędzne tylko dawała utrzymanie. Zdjąwszy z konia uprząż i zaopatrzywszy go w pożywienie, wszedł do swej małej, słomą pokrytej chatki, stojącej w cieniu dwu kwiatem gęsto okrytych rozłożystych kasztanów, niegdyś młodą ręką starego już dziś jego ojca zasadzonych.

W pośrodku ubogiej ale schludnej izdebki, stał długi, gładko wyheblowany stół z ręką skrzętnej gosposi przyrządzoną wieczerzą, na którą się śledź i kartofle, potem chleb masło i gomółka sera składały. Przy stole stojąca żona zagrodnika, okrąglutka, z czerwonemi jak wiśnia ustami i pomimo zapracowanych rąk, młodo wyglądająca kobiecina. drobiła chleb do kubka napełnionego gorącem mlekiem, przeznaczonem dla jej pyzatego jedynaka. Przy stole z opartymi o niego łokciami, siedział młody, barczysty wieśniak. Joachim Ludder, brat gospodyni, puszczając od czasu do czasu kłęby dymu z małej fajeczki.

— Chwała Bogu matko, zawołał Klaus Jurgen przestępując próg izby, że raz już przecie skończą się moje gospodarskie utrapienia. Ostatni to już raz złościłem się dziś tą przeklętą szkapą. Nie powinienem się był już dziś wcale troszczyć mojem polem, ale chciałem oddać w porządku moją cząstkę.

— Z tem swojem „Chwała Bogu“, bądź od jutra ostrożniejszy mój szwagierku — zauważył Jochem Ludder; komissya wcale sobie tego nie życzy, by usta obywateli wymawiały imie Boga. Staremu Kusterowi z Ronndorfu zleciała za to głowa z karku. Bo i po cóż ten stary pies publicznie przed wszystkimi wyśpiewywał — „Wielki Boże chwalimy Cię!“ Byłem przy tem, gdy mu jego starą kapuścianą głowę odłączali od tułowiu. Śmieliśmy się do rozpuku, kiedy odcięta głowa o pięć kroków może od szafotu odskoczywszy, kilką razy jeszcze otworzyła usta jakby do spożycia smacznego jakiego kąska. Z całego serca radzę ci szwagrze, mów raczej: „dzięki rozsądkowi“, albo „dzięki komissyi“, „ludowi“. Tak mówić pod każdym względem bezpieczniej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

3)

Romans pocztowy.

Obrazki z życia ekspedytorskiej pary

skreślił

T. Tymkowicz.

(Ciąg dalszy.)

W sali prócz nas nie było nikogo. Porwany uczuciem, uścisnąłem Lolę moją po raz ostatni i jeszcze raz i jeszcze — i znowu po raz ostatni, obopólne łzy nasze mieszały się z całusami, gdy zagwizdał wjeżdżający na malutką stacyjkę pociąg.

— Bądź zdrowa, żegnaj!

— Bądź zdrów Stasieńku — a pisz zaraz!

Wyszliśmy ze sali — pociąg stawał właśnie w tej chwili. Jeszcze 2 minuty razem!

— Lola, czy nie mogłabyś mi przysłać swej fotografii?

— I owszem. Z Łodygówki do Krakowa niedaleko, zaraz więc „na pierwszego“ pojadę i dam się fotografować. Ty zrobisz tak samo w Kołomyi — nieprawdaż?

— Tak samo zrobię Loleńko moja, — ale pisz zaraz najdroższa.

— Pierwszą moją czynnością przybywszy na miejsce, będzie napisanie listu do ciebie —

mówi Lola wstępując na stopnie wagonu. Mój Boże, tyle przecież mam ci jeszcze do powiedzenia!

— A ja ile! więc napiszesz zaraz?

Konduktor zatrzasnął w tej chwili drzwi wagonu.

— Ależ napiszę — odpowiadała Lola wychylając się z okna. — Ty jednak podawaj się przedewszystkiem o pocztę.

— Podam najdroższa. — Ach, jeszcze tylko pół minuty.

Wyciągnęła ku mnie rękę na pożegnanie którą ucałowałem gorąco, wskoczyłem wkońcu na stopnie i przez okno od którego Lola myśl moją zgadując odstąpiła, wewnątrz wagonu się przechyliłem. Prócz jakiejś starszej pani która w tej chwili w kuferoczku swoim szukając odwrócona do nas była plecami, nikogo nie było w przedziale. Otworzyłem ramiona i w nich znalazła się Lola.

— Żegnaj mi najdroższa moja!

— Mój!

I rączki takie malutkie, takie bialutkie, przesunęły się po mej twarzy.

Trzecie dzwonienie! Zeskoczyłem ze stopni i tej chwili ruszył pociąg uwożący me szczęście. Długo wytężałem wzrok mój w stronę kędy znikła, długo jeszcze widziałem powiewającą jej białą chusteczkę, wreszcie na skręcie zniknął pociąg i ja sam jeden pozostałem opuszczony i samotny.

W pół godziny później, odjechałem i ja w stronę przeciwną tej w której znikła Lola moja.

III.

Od dwu dni jestem w Murchawie i już dwa długie listy wysłałem do Łodygówki. Odpowiedź na nie otrzymam za dni pięć, że jednak Lola obiecała napisać zaraz po przyjeździe, pierwszy jej list przyjdzie jutro. Jakże niecierpliwie oczekuję tego jutra.

Rozglądnąłem się już na obecnem mojem stanowisku. Murchawa jestto nędzna górska wioszczyzna tem się tylko od innych podobnych różniąca, że przez nią wiedzie wielki gościniec na Węgry. Dzięki temu gościńcowi, Murchawska poczta dostarczając codziennie kilkanaście koni do kursujacych gościńcem wozów pocztowych, niesie pocztmistrzowi swojemu miesięcznie 400 florenów czyściutkiego dochodu.

A jednak, pomimo tak pięknego dochodu, panu Würzbergowi, pocztmistrzowi Murchawy, nie żal było widocznie zamienić pocztę ziemską na pocztę niebieską, skoro się tak prędko bo 50 roku życia dopiero a wcale niespodzianie tam wybrał. Umarł bowiem wskutek na polowaniu otrzymanego postrzału, na tydzień przed mym przyjazdem.

Ś. p. pocztmistrz, prócz w najlepszym stanie pozostawionego żywego i martwego inwentarza pocztowego, zostawił po sobie wygodny i obszerny dom z ogrodem, połoninę na której pasło się kilkaset jego owiec i kilkadziesiąt wołów i młodą a piękną wdowę. Nikogo o to nie pytając, już nazajutrz po mym przyjeździe do Murchawy tyle od usłużnych sąsiadów i młodej wdówce posiadałem wiadomości, że chcąc je dosłownie spisać, materyałuby mi na spory tom nie brakło.

Pani Kamila — tak było wdowie na imię, dziwne przeszła w swem życiu koleje. Przyszła ona na świat jako szóste z rzędu dziecko pana Jana Holzmana stróża kamienicy przy Friedmangasse Nr. 9 we Wiedniu. Do dziesiątego roku życia męczyła się nad sukniami swych lalek a potem książką, potem lat cztery pracowała igłą w pewnym magazynie, a kiedy mając lat 14 powiedziano jej że jest dziewczyną wcale ładną i że do zrobienia karyery ani książki ani igły nie potrzebuje, pewnego wieczoru nie powróciła do domu rodziców i z horyzontu Friedmangasse znikła na zawsze.

W dwa lata później, występuje w tinglach Pragi, Krakowa, Lwowa i Czerniowiec jako Ilka Papillon, węgiersko-francuska narodowa śpiewaczka kupletów z Paryża. Byli wprawdzie tacy którzy twierdzili że ani po węgiersku ani po francusku owa Ilka nie umie ni słówka, ale któżbytam zważał na zoilów. Wprawdzie cały je repertuar składał się z pięciu niemieckich piosenek, ale zato żadna z kuplecistek krótszych nie nosiły sukienek, żadna dziękując za otrzymane oklaski z taką gracyą tyłem do klaszczących się nie odwracała, ukazując przytem to, co jej króciutka zakrywała sukienka. Albo jej nogi! To są nogi prawdziwe, to nie jest żadna wata! I sprobować możesz jeśli nie wierzysz, bo niewiernemu dotknąć wolno trykotów. Ani źdźbełka waty nioma pod niemi a samo prawdziwe tylko mięso. Uważasz jakie tęgie a mimo to delikatne? No — i młodziutka.

— *Du Aeffchen, wie alt bist du?*

— *Jedenfalls jünger wie du alter Bock!*

— *Und doch — Ilka!*

— *Was zahlst du aber?*

— *Thee zahl ich*

— *Dass kannst du deiner Alten zahlen, nicht mir — du alter Esel!*

Podochocone towarzystwo śmieje się, Ilka stoi obok obojętnie z opartymi o stół nagiemi ramionami i nagą piersią i chwieje się od niechcenia w takt muzyki fortepianu na prawo i na lewo. Króciutka, sztywna baletowa spodniczka, dostaje się tymczasem na stół, muślin szeleści między butelkami i szklankami i zawadza o spoczywające na stole ręce siedzących naokoło panów. — Taką była owa Ilka — Kamila.

Po dwu latach „śpiewackiej" swej karyery uprzykrzyły się jej tinglowe wawrzyny, dusza jej w wznioślejsze uniosła się sfery i Ilka znalazła się w cyrku, pod nazwiskiem *die schöne Spinne* — piękny pająk. Robiła furorę. Po nad areną rozwieszano olbrzymią sieć pajęczą z cienkich jedwabnych sznurów i po tejto sieci biegał i huśtał się piękny pajączek o złoconych nóżkach. Nie było w tem żadnej sztuki, gdyż artystka przywiązaną była do niewidzialnego sznura, za pomocą którego przerzucano ją z miejsca na miejsce i na którym wisiała kiedy wstrząsała swą siecią, lub biegała na czworakach po gęstej a mocnej plecionce. Zresztą i całe widowisko nie jako sztuka ale jako sposobność ukazania prześlicznych krztałtów „pięknego pajączka" bywało urządzane. Prócz tego, brała niekiedy udział w pantominach — w jednej mianowicie była niezrównaną. Tytuł jej był *die Tricotenkönigin*, akcya cała nadzwyczaj żywa i dowcipna a szczególne zakończenie kiedyto królowej pękają własne jej przyciasne nieco trykoty. Tą królową był zawsze nasz „piękny pajączek" i specyalnie za ten punkt ostatni tak straszliwie zbierał oklaski, że aż trzęsło się płótno cyrkowej budy i migotały cyrkowe lampy.

Lecz oklaski, przejadły się wkrótce pięknemu pajączkowi i pewnego pięknego poranku wyfrunął on po roku pobytu z obrębu cyrkowej atmosfery.

Wkrótce widzimy ją jako Kamilę von Windmeister w charakterze „siostrzenicy" barona Löwenbauma w Peszcie. Pomimo czułego i ciepłego serca z jakiem dom swój — zapewne przez pamięć swej siostry — otworzył dla niej poczciwy wujaszek, nie zagrzała tam dłużej jak dwa miesiące i po pewnej familijnej sprzeczce w trakcie której bankier — wujaszek został do krwi kopnięty w nos obcasem i dostał stołkiem w głowę, uleciała w świat z powrotem.

Tym razem, chciała niczem się nie wiążąc użyć swobody i pojechała na kongres emancypatek do Berlina, gdzie ją przez akklamacyę zastępczynią sekretarki kongresu obrano. Po dwutygodniowych obradach w których kilkakrotnie głos zabierała, syta sławy, wrażeń i oklasków powróciła do Wiednia. Niewdzięczni Wiedeńczycy, nietylko że nie urządzili owacyi dla powracającej tryumfatorki, ale co gorzej, wprost z dworca zaprowadziła ją policya do siebie i w towarzystwie pewnego bardzo przyzwoitego pana odesłała do Pesztu.

Kogożby to nie oburzyło? Niestety jednak oburzeniu swojemu mogła piękna Kamila dać wyraz dopiero podczas publicznej rozprawy która się akurat w trzy miesiące po jej powrocie z Berlina odbyła. Za kradzież, — proszę uważać — kradzież kilku brylantów należących do barona Löwenbauma, bankiera w Peszcie, skazano ją na półtoraroczne więzienie! Okropność! Gdzie tu na świecie sprawiedliwość? Za parę głupich brylantów które sobie wzięła ot tak, — co przecież nie jest jeszcze żadną kradzieżą, półtora roku więzienia! Za takie głupstwo, żart niemal zrobiono z niej złodziejkę, prostą złodziejkę! — To okropność!

Wszystko ma swój koniec, i Kamila więc po 21 miesiącach niewidzenia, ujrzała światło dzienne i uczuła się wolną.

Co miała począć jednak? Odstawiono ją wprawdzie szupasem do gminy jej przynależności, do Wiednia, ale ojczyste powietrze jakkolwiek słodkie dla stęsknionej za niem piersi, nie syci. Ubrana była w łachmany prawie i prócz pięknej jak i dawniej twarzy, nic w niej z dawnej nie pozostało świetności. Ach, co bądź! Kto bądź! Byle ubrać się przynajmniej można! Jakże w takich łachmanach pokazać się u kogo z dawnych znajomych?

Poczęła więc pozować u fotografa zajmującego się fabrykacyą „studyów" z natury. Pozowała więc jako Wenus kąpiąca się, Wenus spiąca rozkosznie na szezlągu, Wenus jedząca winogrona i ostrygi, pijąca szampana, grająca w obręcz z Apollinem, paląca cygaro, jadąca na welocypedzie, ćwicząca rózgą krzyczącego Amorka, słowem w 150 najróżnorodniejszych pozach. Potem jako Leda z łabędziem, z kotem, psem, baranem, znowu w 50 różnych pozycyach. Brak garderoby nie przeszkadzał tu wcale, wiadomo przecież że Grecya kraj ciepły i boginie ni futer ni rosyjskich kaloszy nie używały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z drukarni S. Bednarskiego Lwów, Rynek, L. 9.